21. Grudnia. Nr. 49. 1868 roku.

Wychodzi 1. 11. i 21. każdego miesiąca
(cztery arkusze druku.)

Cena:

kwartalnie . . . . . . 1 złr. 15 ct.
półrocznie . . . . . . 2 „ 30 „
rocznie . . . . 4 „ 60 „

Cena nn. z roku ubiegł. z przesyłką 60 ct.
— z dodatkiem 1 złr. 10 ct.

NOWINY

Listy *franco* przysyłać należy:
„Do wydawnictwa „**Nowin**“ we Lwowie
w drukarni **Kornela Pillera**.

Reklamacje nieopieczętowane nie opłacają się.

Ekspedycja i prenumerata miejscowa
w Administracji „Gazety Narodowej.“

Od Wydawnictwa.

Z numerem dzisiejszym Pismo nasze kończy czternasty miesiąc swego istnienia.

Okiem objąwszy przeszłość — utwierdzamy się w tem przekonaniu, że o ile pozwalały dane warunki, wywiązały się „Nowiny“ z zadania, odpowiednio założeniu Pisma, którego skromny zakres nie wymagał sił nadzwyczajnych.

Jeżeli zasługą Pisma jest zgromadzanie utworów pisarzy pierwszorzędnych — nie mniejszą będzie wyprowadzenie na widownię literacką talentów młodych, ludzi rzeczywiście uzdolnionych, którzy w przyszłości zajmą miejsce dzisiejszych koryfeuszów literatury; a tem właśnie „Nowiny“ starały się odznaczyć.

Pismo nasze wprowadziło w szeregi bojowników-strażców narodowego skarbu nowe siły, dobrze świadczące o przyszłości; a jeden chociażby pozyskany pracownik — już jest zasługą, której zrzekać się nie widzimy przyczyny.

Nie robiliśmy obietnic, samochwalstwa nikt nam zarzucić nie może... I dziś powołujemy się tylko na fakta dokonane. Oddajemy Czytelnikom Pismo, które oczekując na wyrok, ma to przekonanie, że potępionem nie będzie.

Spokojni co do przeszłości, wzbogaceni doświadczeniem rocznej przeszło redakcji, z nadzieją w przyszłość, przystępujemy do dalszej pracy.

Redakcja złożyła dowody, że bardzo skromne środki były dostatecznemi dla postawienia Pisma, które nikt do gorszych nie zaliczył; to jej daje prawo upewnić Czytelników, że chętny współudział pozwoli wypełnić braki, podnieść dobroć Pisma, przez zasilanie go pracami dobremi, bez względu na to: czy pochodzić będą od znanych pisarzy, czy też od takich, którzy po raz pierwszy stają przed narodem.

Pracować będziemy z wytrwaniem; nie zbaczając z drogi wytkniętej, będziemy iść prosto do celu, którym jest: rzeczywista korzyść tak literatury, jak i Czytelników Pisma.

Żmiany i ulepszenia zaczną się od tego, że rozszerzywszy koło współpracowników stałych, zamieścimy w „Nowinach“ prace: najznakomitszego obecnie powieściopisarza T. T. J. (eża) Z. Miłkowskiego, pp. Gordona, Anczyca i innych, których współpracownictwo mamy zapewnione.

Z numerem pierwszym rozpoczynając szereg *Pogadanek literackich*, będziemy się starali dotykać w nich każdego z objawów życia, by utrzymywać Czytelników w ciągłej wiadomości tego, co się naokoło nas dzieje, i jaką idziemy drogą.

Przekonani, że korzyść łącząca się z przyjemnością, najłatwiej odnosi skutek pożądany, postaramy się, Pismo nasze uczynić przystępniejszem w dziale humorystycznym „Nowin,“ ku czemu pozyskaliśmy stałe współpracownictwo miejscowych humorystów naszych; głównie zaś p. Wł. Zagórskiego (Chochlik), z którego utworami (illustrowanemi) w „Nowinach“ spotykać się będą Czytelnicy.

Już w roku ubiegłym Prenumeratorowie naszego Pisma otrzymali w dodatku rodzaj premji („Marche Imperiale,“ „Wielka rycina mód“); obecnie jednak ofiarujemy im dar miły polskiemu sercu i oku, przeznaczając rocznym i półrocznym Prenumeratorom naszego Pisma, wielki obraz fotograficzny (wykonany w pracowni nadwornego fotografa p. Angerera w Wiedniu):

„Losowanie”

z szeregu obrazów ś. p. Artura Grottgera p. t. **Wojna**, których cena wynosi w handlu 17 złr.

„Nowiny“ jak dotychczas, wychodzić będą 1., 11. i 21. każdego miesiąca (cztery arkuszy miesięcznie, na papierze welinowym).

Administrację obejmuje **Księgarnia Gubrynowicza i Schmidta** we Lwowie. Plac św. Ducha l. 41, pod której adresem pieniądze przysyłać należy. Ekspedycja miejscowa również tam się znajduje.

Cena „Nowin“ dla znacznie zwiększonego nakładu, podwyższa się o **1** złr. rocznie.

Roczni i półroczni Prenumeratorowie otrzymają premium natychmiast; kwartalni — w końcu roku, za wykazaniem się prenumeratą z przeszłych kwartałów.

Szersze obowiązki każdego Pisma nakazują mu pracować nad wzbogaceniem literatury, i obudzać zamiłowanie do czytania książek. Starając się odpowiedzieć takowym, redakcja „Nowin“ przystępuje do wydawania Taniej Biblioteki przydatnej dla czytelń, zakładanych w kraju.

Tom pierwszy tej publikacji, p. t. *Krzyż mogilny* 1863—1864 wkrótce opuści prasę.

BIBLIOTEKA »NOWIN«

wydawana tomami stanowiącemi osobną całość, (kartę tytułową zdobi rycina), zawierać będzie głównie powieści oryginalne i tłumaczone; przedruki rzeczy cennych, a nie znajdujących się już w handlu księgarskim, dramata, komedje i t. d.

Przedpłata wynosi, za serję I., obejmującą 640 stronic ścisłego druku, **tylko 1 złr. 20 cent.**

Przedpłata „Nowin:“	rocznie z przesyłką pocztową . .	**5** złr. **60** cent.	
	półrocznie	**3** „ **80** „	(z premium)
	„ z premium w końcu roku	**2** „ **80** „	
	kwartalnie	**1** „ **50** „	
Biblioteka „Nowin:“	I. serja (640 stronic)	**1** złr.	

Pieniądze przysyłać należy: **Do księgarni Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie. Plac św. Ducha, l. 41.**

NA PRZEŁOMIE.

Scena z dramatu.

(Dokończenie).

CHÓR NOWYCH MASEK.

Wstaje dzień — nowy dzień.
Już gotowy stoi pień.
Na nim złożą głowę świata.
Głowę zmiecie topor kata!
W ogień krew! w skonu ziew!
Precz ze świata! kto — nie świata.
Starej doby trupy — w groby!
„W c z o r a j“ — gnić! „D z i s i a j“ — żyć!
W groby! w groby!
Nowej doby
Słońce — świeć!
Nam czas życia — z was dość gnicia —
Trupy! w groby idźcie gnić!

(*Przerażenie słuchaczów ustaje dopiero wtedy, gdy śpiewające maski wyszły z sali. Hrabia czas cały uśmiechał się szyderczo*).

MASKA PIERWSZA.

Straszne widma! straszny głos!

MASKA DRUGA.

Zgrozą zbielał zwiędły włos!

MASKA TRZECIA.

Jaki dziwny masek zjew!

MASKA CZWARTA.

W szpiku kości drzy ich śpiew.

MASKA ARLEKIN (*przebiegając, do maski czwartej*).

Pokaż jak wygląda szpik? —
W kościach naszych — wiatru dech...

MASKA PUSTELNIK.

Gdzież wesela anioł?

MASKA PIĄTA.

Znikł.

MASKA SZÓSTA.

Smutek, groza...

MASKA ARLEKIN.

Hej! gdzie śmiech?

MASKA MANDARYN.

Szalony masek tych dziwnych żart!

MASKA GRAND.

Kto je tu wysłał?

MASKA ARLEKIN.

Nie wiecie? — czart!

MASKI CHÓREM.

Cha, cha, cha! — czart!

MASKA ARLEKIN.

Z ksiąg mądrych kart!
Wyrok im padł...

MASKA PUSTELNIK.

Mnich czarta zjadł!

MASKA RYCERZ.

Więc nie istnieje?

MASKI CHÓREM.

Mądry się śmieje!

HRABIA (*wchodząc między maski*).

Głupi się śmieje.
Czy nie widzicie czartów na ziemi?

MASKI.

Gdzie czart?

MASKA RYCERZ.

Niech ujrzę oczyma memi...

HRABIA.

Patrz na około.
Co człek — to czart!

MASKI CHÓREM.

Ha, ha! wesoło
(*Pokazują hrabiego*).
On śmiechu wart!
(*Biegają, skacząc i pokazując na siebie*)
Ty czart! ja czart!
(*Podbiegując do Hrabiego*).
Mądry człowieku! tyś pstryczka wart!
(*Dają mu powietrzne pstryczki*).
Na, na! na, na!
Cha, cha! cha, cha!
(*Znów się wiążą w taniec, śpiewając*).
Nu-ż w pary! w pary!
Młody i stary!
Brat, ojciec, swat.
Siostra, czy matka,
Wdowa, mężatka
Niech żyje świat!
Niech żyje szał,
Co złudę dał!
Nu-ż w pary! w pary!
Młody i stary!

(*Tańczą hałaśliwie, później usuwają się za kolumny*).

HRABIA (*patrzy za niemi*).

W skonu godzinie — szaleństwo rospusty!
Drzą wnętrzem, a wesele kłamią, podli, usty!...
Zgniliznę — droga szata fałdami przykrywa,
Trup, mogiły lękny — życie w harc wyzywa!
A k o n i e c z n o ś ć patrzy, i głupstwu urąga...
Ludzkość w krąg zamknięta — nie przekroczy kręga!...

Więc przeklętem bądź istnienie!
Klątwa! wiedzy — o niewiedzy.
Istność ślijcie w nieistnienie!
Lub wyzwólcie z pęt niesiły,
Które wszechbyt zwiły — ztliły,
Że się marną stał igraszką
W ręku dziecka — błahą fraszką!

W nową kolej — z tej kolei!
Wciąż z nadzieją — bez nadziei...
Z nieistnienia — do istnienia,
Z nowej żmiany — do żmienienia...
Jakiż cel zabawy — zbawy?!

Ha! potężny, bo niewiedny,
Graj się, graj! wszechumem umny:
Kolebki przemieniać w trumny,

Z trumien nowe stwarzać życie —
By je niszczyć znów w niebycie!
Gdy nie mogą zostać tobą,
To się zrzekam bytu sobą,
Tu na ziemi — tam na niebie!
W nieistnieniu znajdę ciebie.

(*Chce się przebić sztyletem. Maska purpurowa, która weszła przed chwilą — zatrzymuje rękę Hrabiego*).

MASKA.

Doczekaj obiegu ziemi wkoło słońca.
Głupia jest rzecz ginąć, nie widziawszy końca.

HRABIA (*chowając sztylet*).

Prawda. I tobie przyrzekłem spotkanie.
Będę żył.

MASKA W PURPURZE (*ponuro*).

Nie długo.

HRABIA.

Im krótsze czekanie,
Tem lepsze. (*odchodzi*).

MASKA W PURPURZE (*sam*).

Im bliżej celu — bardziej żądza pali.
Wieki świat wstrząsały — ma go ręka zwali!

ODDALONY CHÓR MASEK.

Precz ze świata — kto nie świata!
Starej doby trupy! — w groby!
Z was dość gnicia! — nam trza życia.

MASKA W PURPURZE.

O! dość gnicia, bo całe cuchnie już powietrze.
Czego śmierć nie zabiera — niech to ręka zatrze!
I w groby ułoży, by świat, w nowym bycie,
Znów zajaśniał życiem, i w sobie miał życie!
A jako w wszystkich was się robak lęgnie,
Tak też was wszystkich straszny cios dosięgnie!

MASKA TRUPIA-GŁÓWKA (*przebiega scenę*).

Więc wszyscy? (*znika*).

MASKA W PURPURZE (*odpowiadając*).

Wszyscy!

(*Wchodzi Elwira*).

MASKA W PURPURZE.

Ha!

ELWIRA (*opiera głowę o pierś zamaskowanego*).

Alfie mój drogi!
Bez twej mi piersi, jako bez istnienia.
Duszy mej brakło dotychczas płomienia,
W cieniu zbłąkana, drzała, w pustki zimnie...
Tyś spojrzał tylko, stanąłeś tu, przy mnie —
I z duszy mojej zginęły: chłód, ciemnie,
A wielki ogień rozgorzał się we mnie...
I duchem twoim jam już przesiąknięta,
Zbrodzeń bez ciebie — z tobą jestem święta!
Alfie! ja przeszłość w grób zapomnień złożę,
Przez ogień cierpień, przez boleści noże
Przejdę! — i z cnoty powrotnej rumieńcem
Na licu — stanę z tobą, oblubieńcem
Mojego ducha. I tak spotężnieję,
Że innych wielkość, przy mojej, zmaleje.
I tobie równa z tobą stanę w rzędzie,
I pójdę wszędzie! i dotrzymam wszędzie!

(*Słychać muzykę chóru masek*).

MASKA SZTYLETNIK (*przebiega scenę*).

Wszyscy!

MASKA TRUPIA-GŁÓWKA (*przebiegając scenę, ironicznie*).

Nie wszyscy.

ALF (*toczy ze sobą walkę wewnętrzną; po chwili*).

Ha! skończona walka!

(*Do Elwiry*).

Przeznaczenia siła — twoja jest rywalka.
Ale ja w istność — sklnę słowo potężne,
Musowi — ramie przeciwstawię mężne,
W niepodobieństwa — potęgą popłynę,
I z tobą zginę, lub z tobą wypłynę!
Małżonko moja! weźmij ducha siły.
Ciebie ja życiu wydrę u mogiły.
Bo siłę życia do grobu sprowadzę!
Władzą mą — tobie daję ducha władzę!

ELWIRA (*drżąc natchnieniem*).

Stoję olbrzymia, bo w twą wielkość dumna!

ALF.

Duchu! mów przyszłość jaka będzie?

MASKA SZTYLETNIK (*ukryta — głosem grobowym*).

Trumna!

ALF.

W piekło i niebo! przez niebo i piekło!

(*Do Elwiry, obejmując ją ramieniem*).

Pójdź, ma wybrana! — Stań się, jakoś rzekło!

(*Wychodzą*).

(*Maski tańczące i maski groźne. Pierwsze wbiegają na scenę w tańcu. Ostatnie stoją spokojnie. Hrabia w framudze okna*).

(*Z tańczącymi łączy się grono masek innych. Tańcząc śpiewają*).

CHÓR MASEK TAŃCZĄCYCH.

W pary! w pary!
Młody, stary,
Siostra — brat,
Matka — syn —
Niemasz win!
Niech żyje świat!
Wszystko kał! wiwat szał!

(*Tańczącem kołem okrążają maski groźne, które śpiewają, narzędzia swe w górę trzymając. Chóry łączą się*).

CHÓR MASEK GROŹNYCH.

W ogień krew! w skonu ziew!
Precz ze świata — kto nie świata!
Starej doby trupy w groby! —

HRABIA (*spokojnie*).

Czekajmy obiegu ziemi wkoło słońca.
Głupia rzecz jest ginąć nie widziawszy końca.

(Zasłona spada).

Korespondencje.

Paryż — *10. grudnia 1868.*

Zaiste, zaiste, jeśli społeczności dzisiejszej wiele a wiele rzeczy, sporo niedostatków i wad niemało, zarzucić można, to nie można jej przynajmniej zarzucić braku pośpiechu, lenistwa, a ociężałości; śpieszy się bowiem biedaczka jak może, śpieszy się tak, jakby jej jutra brakowało, jakby przewidując bliski już koniec, świtający dzień sądu, dopełnioną miarką życia zasług i grzechów, powitać pragnęła. Gorączkową gnana niecierpliwością, jeździ kolejami, rozmawia telegrafem i w sferze nawet duchowej, parową jakąś, rzekłbyś, pędzi maszyną. Dawniej, naprzykład, trzeba było wieków prawie, trzeba było lat pleśni, by zmarłemu talentowi, zmarłej zasłudze laurowy wieniec uznania na pobladłe troską życia włożyć czoło; dawniej talent ten, dążąc do nieba sławy, wprzód długie czyśce, długie próby szyderstwa i zapomnienia przebywać musiał powoli, od wnuków, od prawnuków dopiero ostatecznego sądu i ostatecznej oczekując nagrody... Dzisiaj zaś, dzisiaj sława i nieśmiertelność zaczynają się dlań za życia; dziś mu, nazajutrz po śmierci śpiewają hymny pochwalne, nadgrobowe kują posągi, tryumfalne złocą korony; dzisiaj talentowi temu tak się z zapłatą i nagrodą śpieszą, że synom, że wnukom naszym, nic już do roboty nie zostanie; że od synów, od wnuków naszych nic się już mu należeć nie będzie. To dobrze, to postęp, mówicie? — Zapewne, zapewne!... Dużo by się jednak o tem powiedzieć jeszcze dało.

Jabym sądził, naprzykład, że talent, talent literacki zwłaszcza, jak owe wino, nie wprzód ocenionym być może, aż się sfermentuje i ostoi; aż zeń pod podmuchem czasu, nie wywietrzeje ta surowizna, ten smaczek zielony, to wszystko wreszcie, co mówiąc mniej przenośnym językiem, będąc nam blizkiem, namacalnem ludzi nas i zabawia, a co dla wnuków naszych wzrosłych pod innem już słońcem, pod wpływem innych już wydarzeń, tego samego co dla nas uroku świeżości, teraźniejszości, mieć nie będzie i mieć nie może. Każde pokolenie ma swoją miarkę, którą wszystkie współczesne sobie rzeczy mierzy i ocenia; pod łokieć jednego zbudowany przybytek, już następnemu za wązkim, lub za szerokim, za nizkim lub za wysokim, wydać się może. Jest dopiero inna, wiekowa skala, szczyt ludzkiego piękna, ideał niezmienny, prawdziwy próbierczy kamień zdolności. Ten tylko utwor, co się ani lat pleśni, ani tej ciągłej ludzkich pojęć i ludzkich upodobań metamorfozie przygasić, ku ziemi przygiąć, nie pozwolił; ten dopiero jeniusz, co po lat przebiegu jak Homer, Dante, Schakespeare, wciąż do olbrzymiej tej skali, promiennem dostaje czołem — ten dopiero wart posągu, temu dopiero taki, na pewno już dźwignąć można! Wnukowie go nie obalą, ani też drwiącem nie żmierzą go okiem. Dajmy sławkom naszym na dobie, dajmy tym co na sławę wieczystą zarobić pragną zachętę; dajmy im możność pracy, jeśli im na niej zbywa; dajmy im oklask, jeśli tego ich próżność wymaga; na świeżym ich grobie złóżmy wianek żalu i wspomnienia. Któżby się żal taki wyśmiewać odważył? — lecz nie dźwigajmy im śmiesznych, bardzo może kruchych, jutro na zwalenie skazanych posągów! Lecz nie tkajmy ich między gwiazdy, by jutro z tej wysokości błędnym tylko nie zleciały ognikiem!... Lecz nie żwijmy ich zuchwale wielkimi, by wiek przyszły, płacąc nam własną naszą monetą, plemieniem Pigmejczyków nas nie osądził, mówiąc: „Jeśli ci byli wielkimi, jakimiż wówczas m a l i być mogli?“ Zostawmy coś do roboty wnukom, jak nam dziadowie nasi zostawili. Schakespeare był zapoznanym, przeszedł przez próbę wieków i dla tego jest Schakespear'em!

Wieleż to imion wielkich niby, a głośnych za życia, bezdenne niepamięci połknęły otchłanie?

Dwa lata upływa jak P o n s a r d autor „Lwa zakochanego“ (*le Lion amoureux*) „Giełdy“ (*la Bourse*) i t. d. życie zakończył, a już teatr francuzki, pole niegdyś jego popisów, na scenie swej tryumfalne recytuje mu ody, a już miasto G r e n o b l e gniazdo śpiewaka, jedną z swych ulic jego chrzci imieniem i posąg mu postawić zamierza. Zawcześnie! zawcześnie!... Czem był Ponsard — potomność ostatecznego o nim nie wyrzekła jeszcze słowa; słowo to wisi jeszcze w górze nad pamięcią poety... Kto wie jakim ztamtąd gromem nań spadnie. — Ponsard? We Francji nazywają go przedstawicielem poetycznej szkoły „z d r o w e g o s e n s u!“ (*le bon sens*). Zdrowym sensem mianują pewną miarkę we wszystkiem, nawet w zapale; przyjemny chłodek uczuć, ni to gorąco ni zimno, ściśle odmierzoną dozę fantazji, przyzwoity wreszcie spacer, dobrze wyjeżdżonym Pegazem, po gładko ubitej, a na klasyczny Parnas wiodącej drodze. Kiedy w pierwszej połowie bieżącego stólecia między 1820 a 1850 rokiem, romantyzm, ten młody z dziewiczemi, nieobciętemi jeszcze skrzydłami ptak poezji, w strofach Wiktora Hugo, w jambach Augusta Barbier zaczął sobie bujać swawolnie, patrząc w niebo, tę swoją dziedzinę, a nie dotykając ziemi tej wiecznej swej nieprzyjaciółki — mieszczaństwo się przestraszyło! Nie do smaku mu był ten młody, dziki, nieokiełzany rumak, co brykając na lewo i na prawo, rzucał mu w twarz jakby grudkami błota, drwinkami z jego kupieckiej odrętwiałości. Nie dosmaku mu był ten swawolnik, co wywracając pobudowane przez starych płoty a zastawki, wierzył, że po za niemi jakieś szersze, dla mocnych swych piersi dogodniejsze, znajdzie przestrzenie. Mieszczaństwo się przestraszyło, powiadam, i z tej jego trwogi zrodzony, tą trwogą natchniony, z piórem umoczonem w kałamarzu reakcji, z okiem wlepionem w jakąś po grecku udrapowaną płachtę, co mu starożytność przedstawiać miała, na deski teatrów, na półki księgarni wystąpił wówczas Ponsard, i wystąpił jak widzimy w porę dla siebie, bo wdzięczne za wierne służby mieszczaństwo w dwa lata po śmierci swego wychowanka, już się z nim na Olimp gramoli.

Zawcześnie! raz jeszcze, i nie tędy nawet droga! Nikt zapewne Ponsard'owi nie odmówi talentu; starczyło mu go na nakreślenie scen kilku, na gładkie wierszowanie, na schwycenie wreszcie kilku dość szczęśliwych efektów; lecz nie na stworzenie choćby jednego całkowitego dzieła, nie na ożywienie choćby jednej prawdziwej, a historycznemu charakterowi swemu wiernej postaci. Rwąc się z piórem na wielkie rzeczy, wnosząc na scenę wielkie chwile dziejowe, taką sobie Rzeczpospolitę 1793 w „Charlotte Corday“ naprzykład, cóż z niej ulepić, jak ją odwzorować potrafił? Czytajcie.

„Charlotte Corday?“ młoda, na wsi, na łonie po staremu wierzącej rodziny, wychowana dziewica, rozczytawszy się w księgach malujących świetność pierwszych chwil Rzymskiej Rzeczypospolitej, zapatrzywszy się zwłaszcza na wzniosłe postacie jej bohaterów, piórem praszczura swego Corneill'a rysowane — staje się gorliwą republikanką. Rzeczpospolita jednak, jaką w koło

siebie spostrzega, ideałowi onej w duszy jej wyhodowanemu, wcale nie odpowiada; krew, którą się świtająca wolność we Francji oblewa, razi i razić musi namiętne, lecz tkliwe i łagodne serce dziewicy. Słysząc codzienne skargi swych blizkich na Marat'a, jako na najbardziej krwi chciwego z trzech po upadku Żyrondy, (*la Gironde*) władzcami Francji pozostałych tryumwirów, powtarzając sobie codziennie sceny z „Cynny", rozekzaltowuje się jednem i drugiem, i w chwili szału w paroksyzmie gorączki, uderza Marat'a, mszcząc na nim łzy swoich ukochanych i podeptane mary swej młodości. Taką tylko Charlotta była możebną i taką być musiała koniecznie. Ponsard zrobił z niej doktrynerkę, filozofkę, co się z zbłąkanemi w drodze, a uciekającemi przed pogonią Żyrondystami (*les Girondins*) ot tak sobie, gdzieś w polu, między płotami w polityczne zagłębia rozprawy; trybunom ludu ich obowiązki przypomina i dyktuje, i rozpytawszy się ich dokładnie: któren mianowicie z trzech tyranów, konającej według nich Rzeczypospolitej najwięcej zagraża — na zimno prawie, z rozwagą wyrok śmierci Marat'a w duszy swojej podpisuje... O, poeto zdrowego sensu! Twoja Charlott'a sympatji wzbudzić nie zdolna! Twoja Charlott'a to nie młoda, namiętna rozmarzona i rozgorączkowana dziewica, której morderstwo przebaczyć można, bo popełniła je w chwili szału, nie rozważnie, nie wiedząc prawie co czyni!... Twoja Charlott'a, to jakaś sekutnica, megera, co morderstwo studjuje, ocenia, waży i tem samem ohydnem je czyni, i tem samem litość dla ofiary, chociażby ta sto razy od Marat'a straszniejszą była: obudza... Jeśli chciałeś tego, jeśli zamiarem twym było, postać tę w czarnych przedstawić kolorach, co się o ile wiem z twym sposobem widzenia rzeczy, z twemi zasadami, zgadzać nie mogło — toś się i do tego zabrał niezgrabnie... boś w usta jej włożył nadto piękne wyrazy, boś ją od czasu do czasu nadto poetyczną otoczył aureolą! — A tych że trzech tryumwirów? A ten że Danton lew? Marat tygrys? Robespierre lis i hyena zarazem? tych trzech pieszczochów i wybrańców ludu, trzy główne jego namiętności: krwawy gniew, krwawą zawiść i krwawą ambicję przedstawiający, te trzy postacie, które kiedyś wielkiego mistrza natchnąć potrafią — tyś je jeszcze poeto zbyt stronnem, zbyt drażliwem rysował piórem. Schiller sprawiedliwie powiedział: „Co ma ożyć w pieśni, zaginąć powinno w rzeczywistości" (Was im Gesang unsterblich soll leben, muss im Leben untergehen). Rewolucja 1793 roku jeszcze żyje, namiętności, które ją wywołały jeszcze drgają w piersiach narodu, i twoja pierś poeto, jeszcze niemi tętnić musi. Ty się boisz Marat'a, więceś go zrobił szaleńcem tylko; nie rozumiesz Robespierr'a — toś go nie wyraźnie nakreśliwszy, kilku filozoficznych frazesów osłonił chmurką; sympatyzujesz z gwałtownym i pysznym, lecz miękkim zarazem Danton'em — więceś go twym najcieńszym odrysował pędzelkiem; więceś go na najlepszem postawił miejscu!.. Kiedyś spokojniejsze, jaśniej zatem widzące oko historyka-poety, w tych trzech, tak u ciebie różnych typach, jednej i tej że samej dopatrzy istoty ludu, który w Danton'ie wybucha pierwszym długo tłumionym, gwałtownym zrazu, słabszym i straszącym się własnych swych skutków potem, zapędem gniewu; który w Maracie tym samym gniewem, krwią przelaną, najwięcej upajającym z trunków, rozwścieka się i odurza; który nakoniec w Robespierze doszedłszy do wszechwładzy, obaliwszy wszystko, co między nim a nią stało na zawadzie — nie wie: co robić z tą olbrzymią swą zdobyczą? i podejrzliwem trwożnem, krwią jeszcze zabiegłem w około spogląda okiem!... Kiedyś, mówię, spokojniejszy, jaśniej zatem widzący wzrok historyka-poety, żadnego z tych trzech ludzi nie potępi; każdego naturalnym wynikiem czasów i okoliczności być osądzi; żadnemu myśli kierowania ludem dla własnych widoków, jak Ponsard w scenie VII. aktu IV. w słowach Danton'a do Robespierr'a "O zapewne, zapewne", „l u d w ł a d a" to rzecz wiadoma, omówiona, oklepana; lecz powtarzajmy ją w klubach, gdzie się ona podoba; tutaj jesteśmy sami, mówmy więc szczerze, odrzućmy czcze słowa, i wyznajmy, że lud potrzebuje by nim kierowano!"

(*Eh sans doute, le peuple est souverain c'est dit*
Mais tu n'es pas aux clubs, où cela s'applaudit.
Laissons donc entre nous ce mot sonore et vide,
On sait bien que le peuple a besoin qu'on le guide).

i przedtem chwilę w zapytaniu tego samego Danton'a:

„Rewolucja jest naszą tym razem; coż więc z nią zrobimy ponieważ ona do nas trzech należy?"

(*La Revolution est á nous cette fois,*
Eh bien, qu'en ferons nous, puisqu' elle est à nous trois?)

Jaśniej widzący historyk ów, poeta, żadnemu z trzech tryumwirów słów podobnych nie przypisze. Nie, sto razy nie! Ludem wtedy nikt prócz własnych jego namiętności, prócz pragnienia odwetu za wiekowe swe krzywdy, nie kierował; rewolucja wtedy nie należała jeszcze do nikogo, prócz do samej siebie, — i kto inaczej twierdzi, kto błędy i wielkie czyny tłumów w kilku osobistościach zlokalizować pragnie; kto rewolucję, wielką jak świat cały, robotą trzech czy czterech indywiduów być mieni — ten zda mi się, jeszcze jej nie rozumie; ten jej bluźni; ten się na nią bardzo mieszczańskiem, reakcyjnem, trwożliwem zapatruje okiem; ten dowodzi wreszcie, że się jej boi i wstydzi, kiedy winy miljonów na trzech baranków ofiarnych, Robespierr'a, Marat'a Danton'a: zwalić usiłuje.

Daleko nas zawiodła rewolucja. „Charlotte Corday" jest zapewne najdonioślejszem, lecz nie jedynem dziełem Ponsard'a. I o innych rzec by coś należało. Postaramy się więc ocenienie onych, osobiste moje naturalnie, w kilku tylko krótkich streścić słowach: „Honor i pieniądze" (l'Honneur et l'Argent), „Giełda" (la Bourse) komedja obyczajowa — to chłodne deklamacje, nikogo wzruszyć, nikogo przekonać, ni poprawić nie zdolne. Typy na scenę w nich wyprowadzone — to blade formułki, bez życia, marjonetki, co się tak ruszają, jak autorowi potrzeba, jak mu wygodnie dla przeprowadzenia zapowiedzianej z góry idei. — „Lew zakochany" (le Lion amoureux) także komedja, lecz tym razem quasi-historyczna, na tle konającej już Rzeczypospolitej osnuta, mniej grzeszna niż starsza jej siostrzyca „Charlott'a" pełna jednak naciągniętych sytuacij, słabo zarysowanych charakterów, również do arcydzieł policzoną być nie może. Zostają sztuki z Greckich i Rzymskich czasów, lub z średnich wieków wygrzebane; takie: „Ulysse," „Lucrece," „Agnés de Méranie," „Galileusz" wreszcie. W tych ja Ponsard'a najwięcej lubię. Z martwą, nie krzyczącą pod nożem anatoma doczynienia mając materją — krajał w niej śmielej i mniej drżącą ręką, i wykroił, jeśli nie arcydzieła, to przynajmniej dość gładkie, przyzwoite, efektowne i na scenie dobrze się prezentujące utwory.

Otoż i cały literacki pakunek poety laureata, zaszczyconego posągiem i tryumfalnemi odami. Wieje zeń chłodem jakimś, brakiem słałych przekonań potrąca... Zresztą ocenienie

tego ze wszech miar i względów osobistego mego sądu, zostawiam uwadze publiczności. Czy go ona sprawiedliwym znajdzie? nie wiem. Mogłem się omylić... Pisałem jak myślę i wierzę; w tem cała moja zasługa.

Resztę tego listu smutnym dopełnić mi wypada nekrologiem. Berryer, ten nestor francuzkiej palestry, po długiej chorobie, po kilkunastodniowem wahaniu się między życiem a śmiercią, przeniósł się w świat lepszy, niosąc tam z sobą liczne i nie lada jakie zasługi.

Piękny talent tyle razy w szlachetnej użyty sprawie, czyste niczem nie skalane imie, stałość niezachwiana przekonań, z któremi można się nie zgadzać, które jednak uszanować potrzeba — to cały Berryer. Powszechny smutek, ogólna żałoba świadczą o tem wymownie. Co raz to mniej takich we Francji, ba! na na całym świecie! Starzy schodzą z pola, młodzi naśladować ich nie śpieszą się... Zobojętnienie na wszystko, prócz pieniędzy, zasklepienie się w sobie, egoizm — zwą się postępem, cywilizacją. Ci, którzy nie dla samych siebie, nie dla własnego interesu, własnej wygody, a dla jakiejś idei żywot poświęcili — to ludzie zacofani, patrzący na siebie, wczorajsi, litość tylko wzbudzić godni!... Smutno, smutno na każdym takim grobie! Jakieś przeczucie chmurnej przyszłości napełnia duszę i łzami oblewa oko.

Rząd cesarski we Francji, oględny na dobro poddanych, baczny na ich przyszłość, bierze się do oszczędności. Zauważywszy, że pół miljona franków, dawane rocznie szkole polskiej w Paryżu i kilkuset biednym wygnańcom, Francję zrujnować może — ten tak olbrzymi wydatek z budżetu wykreślić postanowił. Bardzo słusznie! bardzo słusznie! grosz publiczny szanować potrzeba; rząd cesarski z tego słynie... On nie chce pół miljona rzucać niepotrzebnie tym, których nieszczęścia może główną jest przyczyną... On woli pół miljona te użyć lepiej, szlachetniej, na daleko potrzebniejsze rzeczy... dać naprzykład panu Rouher, przehulać w Compiégne i t. d. Bardzo słusznie! Jam z tego rad nieskończenie; to może do reszty naszym oczy roztworzy... To może do reszty ich przekona, że na tego, co zdradą, wiarołomstwem, podeptaniem naświętszych przysiąg na tron się wydrapał — liczyć nie można i nie należy! Że dzisiaj wierzyć w czyjekolwiek sympatje, do wytrwania w których interes nie zmusza — to rzecz śmiechu warta!... Że nakoniec dzisiaj w każdej okoliczności i w każdej sprawie liczyć można tylko na siebie i na własne swe siły, wierzyć tylko sobie i swoim.

J. C.

Recenzje.

Żyd, dramat w 5 aktach, oryginalnie napisany, przez *Edwarda Lubowskiego* — przedstawiony po raz pierwszy dnia 7. grudnia 1868.

(Dokończenie).

Kwestja żydowska, niewątpliwie mająca dla nas znaczenie pierwszorzędne, zajęła ostatniemi czasy wszystkie poważniejsze umysły. Uczeni, politycy, ekonomiści piszą rozprawy, broszury, artykuły gazeciarskie... które zjawiają się w różnych stronach Polski!... Pisać, mówić, myśleć o kwestji żydowskiej — stało się powinnością — modą!...

Idee nowoczesne, nasze powstanie ostatnie, udział jaki brali w niem żydzi — były główną pobudką do zajęcia się sprawą żydowską, i wprowadzały ją na porządek dzienny rozpraw narodu.

Mniemamy, że dość było nauki i polityki, by sporną kwestję załatwić; że nie należało na arenę działań wyprowadzać literatury i sztuki. Nasi pisarze jednak są zdania odmiennego! P. Bolesławita pisze „Żyda," p. Bałucki „Żydówkę," p. Lubowski przeznacza na scenę dramat, którego bohaterem jest „Żyd," bohaterką żydówka...

Na całym świecie i u nas, żydzi nie cieszą się zbyteczną sympatją. Wszystkie narody zarzucają im bardzo wiele; a chociaż obrona możliwa — fakt jednak zostaje faktem, że żydzi wszędzie i zawsze źle się odpłacają za chleb, za złoto, które do swych skrzyń gromadzą...

P. Lubowski broniąc swoich klientów, pokazuje nam żydów w świetle odmiennem. Szachrajstwu przeciwstawia — poczciwość; niewdzięczności — przywiązanie dziedziczne; brakowi wychowania kobiet — świetne wykształcenie... Jego Goldstern (p. Królikowski) kapitalista, jest żydem o tyle, że nie zapiera się żydostwa; Elka (pni Szymańska) córka jego — żydówką, o ile rysy wschodnie, podnosząc jej piękność, wskazują na pochodzenie nie europejskie... W ich otoczeniu spotykamy się z żydostwem tylko w nazwie...

Stworzywszy taki świat żydowski, który oby istniał! — autor przeciwstawia mu świat polski, szlachecki. Ale nie lubownik drastyczności, i tu widzi więcej światła, aniżeli cieni... i tu nie daje nam rzeczywistego obrazu; ale fantazyjne widziadła figur, które mówią i działają, nie jak chcą same, lecz jak im nakazuje autor. W dramacie więc jego próżno szukalibyśmy prawidłowego rozwoju akcji... Widz zgadnąć tu nie może: jaki obrót wezmą rzeczy?... Autor sam nie wie: dokąd zaprowadzi go chęć, jaką drogę pochodu naznaczy swoim kreacjom?...

Goldstern jest powiernikiem rodziny hrabiów, którym ojcowie jego i on służyli wiernie i bezinteresownie... Goldstern wypiastował prawie hr. Adama (p. Szymański), któren z wdzięcznością przyjmuje sprawozdanie z czynności finansowych powiernika... i za chwilę, za jedną krótką chwilę widzi się zakochanym w Elce!... zakochanym tak, że nie waha się swej miłości poświęcić: narzeczonę Helenę (pna Rudkiewiczówna); zadać cios matce (pni Hubertowa), nie pozbawionej uprzedzeń arystokratycznych; wydać wojnę światu, i skarb swój, Elkę, uniosłszy na pustynię, zrzec się wszystkiego, by żyć — tylko miłością! A do tego wszystkiego potrzeba mu było: raz jeden ujrzeć Elkę na chwilę, usłyszeć parę słów nic nie znaczących, ujrzeć jej czarne, palące oczy...

Zapewne hr. Adam jest jedną z tych dusz ognistych, jednym z tych duchów płomiennych, którym dość iskry, dość zbliżenia się światła — by wybuchnąć ogniem, wylać kipiącą lawą?... Bynajmniej! Jest on tak codziennym, tak bardzo spokojnym, tak nie gwałtownym, że dość jest słabego przypuszczenia (Akt III.), że matka może potrzebować jego obecności — by odejść kochanki, wówczas gdy ta po oporze, rzuca mu się na szyję, wyznaje miłość, otwiera mu niebo!... Opuszcza kochankę w chwili, gdy przy uścisku schodzi ich ojciec — jak się teraz pokazuje: żyd, w całem tego słowa znaczeniu! bo fanatyczny, bo pewny, że goim niewierny skalał Izraela, pocałowawszy jedną z jego córek. Jedna ta chwila, z Goldsterna robi żyda-źwierzę, które chce krwi, rozszarpania, katuszy! tego, który przed chwilą był mu przyjaznym, miłym, do pewnego stopnia pokrewnym... Goldstern chce zemsty! Nie śmierci jednak wroga

od sztyletu, trucizny... ale śmierci, jaką wymyślił wiek XIX., męczarni, jaką zna postęp — chce jego majątkowej ruiny!

Hr. Adam kocha żydówkę. — Czy przerażają go następstwa związku? niepodobieństwo połączenia się, gdy Elka wiary ojców zrzec się nie chce? gdy nawet nie znosi myśli opuszczenia ziemi, w której spoczywają kości jej matki? — (co, mowiąc nawiasem, wręcz rozchodzi się z charakterem ludów wschodnich). Nie! Hrabia o tem nie myśli... I nie wiadomo: coby się stało? gdyby nie podejrzenie, nie pewność Heleny, że narzeczony kochać ją przestał, że serce swe oddał innej kobiecie. Lecz komu?... Wysłany na zwiady sługa donosi, że tą kobietą jest córka Goldsterna; hrabia sam wyznaje wreszcie, iż jest nią — żydówka!...

Wyznanie miłości zrzuca ciężar z piersi hrabiego; a choć przygnieść by go powinno przekleństwo matki, jej rospacz i łzy narzeczonej — on, zgryzot sumienia nie czując, swobodnie oddaje się szczęściu, i prawdopodobnie nie wie: w jak zagadkowem położeniu znajduje się Elka, zdradziwszy swą miłość dla niewiernego, przed ojcem... A Elka jest żydówką, co gorsza: narzeczoną F a i n e r a (p. Baranowski) najbardziej niesmacznego głupca, a finansowego ulubieńca Goldsterna.

Kolizyj nie brak, interes dramatyczny nie pośledni... Ale autor nie zwraca nań uwagi. Jemu chodzi o... Bóg wie: o co? bo i sam autor nie wytłumaczy, dla czego Goldstern staje się prostym łotrem, który okrada hrabiego, pieniądze jego oddawszy buchalterowi, z warunkiem, by natychmiast uciekł — do Ameryki!... Goldstern wie, że Elka nie kocha hrabiego. (Ma przysięgę córki -- która dla czego krzywo przysięga? nie wiemy...) Goldstern ma tysiące sposobów, któremi mógłby dojść do kapitałów hrabiego, celu swej zemsty — za pocałunek córki... ale mu potrzeba (znowu nie wiemy: na co?) spodlenia się córki: on ją czyni swym wspólnikiem, robi współwinną — namowom Elki ulegając, hr. Adam oddaje resztę kapitału Goldsternowi, dla spekulacyj, i majątkową swą ruinę przyśpiesza. — Krizis nastąpiło — hrabia nie ma już pieniędzy!... To wielkie szczęście, że zmarły w tym czasie krewny Adama nie zostawił mu miljonów (o co tak łatwo na scenie!...) bo cała zemsta nowego Szajloka-Goldsterna skończyłaby się dlań bardzo nie pomyślnie, nie dotknąwszy ofiary: Goldstern zostałby tylko złodziejem; a hrabia podawnemu byłby w posiadaniu pałacu i karety!... Lecz krewny zmarł, nic nie zostawiwszy Adamowi — i hrabia widzi się żebrakiem...

Teraz dopiero przypomniał sobie dawniejszą powinność, i prosi o rękę Elki... (Gdzie by był ślub: w kościele czy synagodze? nie wiadomo). Lecz naturalnie, jako żebrak, zostaje odtrąconym przez Goldsterna... pada zemdlony, i jest „kaleką“ jak powiada bohater dramatu p. Lubowskiego.

Pierwej jeszcze miała miejsce scena sam na sam, pomiędzy Heleną i Elką, w której szlachetne rywalki nawzajem oddają sobie Adama... ale w końcu zostaje on przy żydówce... A chociaż teraz po stracie majątku i swem odepchnięciu złamany, bez nadziei, leży zemdlony u progu — nie Elka śpieszy na jego ratunek, lecz w uścisk swój przyjmują hrabiego — matka i Helena, jak dobre duchy zjawiające się w chwili katastrofy...

Adama wyprowadzają kobiety, Elka odchodzi do bocznego pokoju — Goldstern zostaje sam...

Syt zemsty, u pragnień swych mety — żyd p. Lubowskiego uczuwa coś w rodzaju skruchy... A wpada w rospacz na wiadomość, przyniesioną z drugiego pokoju przez Fajnera, że Elka — uciekła... do — ciotki hrabiego.!?.. której ją polecono (kiedy? jak? gdzie i poco?)...

Jak piorunem rażony tą wieścią, Goldstern pada bez zmysłów. Lękając się odpowiedzialności za skradzenie pieniędzy, po ucieczce Elki, Fajner zosta wia zemdlonego... któren się podnosi, deklamuje dość długo na temat: „biada!“ i mdleje ponownie.

Zasłona, litując się męczarni żyda i udręczenia widzów — zapada, sprowadzając — koniec dramatu, uwieńczonego przez komitet znawców.

Jeżeli hołdując zepsutemu smakowi, przystąpimy do ocenienia „Żyda“ w myśl utylitaryzmu sztuki — nie mniejsze nam okaże ona braki pod tym względem, jak i odnośnie do stanowiska dramatu, jako sztuki pięknej.

Jaki dylemmat rozwiązuje autor? co nam daje w swym utworze?... Motywa psychiczne tylko gwałt tu odniosły... O nich więc mowy nie ma!... O osiągnięcie ideału nie kusił się autor... Prawdy nie spotykamy w dramacie... Błysków, chociażby, samodzielnego talentu — niemasz!

Utwor rozminął się z swem założeniem. Autor pragnął podnieść żydów, okazać ich z lepszej strony... Nie chodziło mu o ludzi, ale o ż y d ó w przedewszystkiem... osiągnął skutek wręcz przeciwny!

W narodzie żydowskim są strony podniosłe; ale nie te, które nam p. Lubowski przedstawia... Nie wyjątkowe, a przynajmniej bez ogólnego znaczenia, przywiązanie do rodziny obywatelskiej; nie wychowanie kobiet europejskie — także wyjątkowe, są temi stronami dodatniemi żydów, na które zwrócić uwagę należało... Życie ich rodzinne, działalność społeczna, ich stanowisko przez ciąg wieków -- tu pole do odkryć prawdziwych skarbów, które mogą zidealizować, podnieść życiową prozę żydów, i wzbudzić ku nim sympatję! — A gdy już koniecznie potrzeba było autorowi pokazać żydów, jakimi są oni w stosunku do naszego społeczeństwa — to i tu prędzejby celu osiągnął wskazując na odmawianie im praw człowieczych, na parjasostwo plemienia, któremu religijna wyłączność nie pozwala wcielić się w organizm narodu... Niechby autor wykazał nam krzywdy żydów, naszą w odniesieniu do nich niesprawiedliwość — dopiął by celu, — bo mógłby obudzić sumienie uśpione... Ale tacy żydzi, jakimi ich nam przedstawił p. Lubowski, utwierdzają tylko wkorzenione w narodzie przekonanie, że przepaść przedziela nas od nich, i niemasz możności jej przybycia! Początkowa zacność Goldsterna, spotęgowuje wielkość późniejszego łotrostwa kapitalisty, którego nie zdoła usprawi[illegible]wić niczem nie uzasadniona, nie człowiecza, zemsta.

Wykształcenie Elki do czegoż się przydało [illegible] nych rozumowań, któremi odpowiada na [illegible]anie [illegible] kochanka?... Do myśli poślubienia istoty, nie zasługującej na miano człowieka?... Do krzywoprzysięstwa, przed obawą fanatyzmu ojca?... Do miłości, która jest pół-uczuciem, pół-rozumow[illegible]... Do ucieczki wreszcie z domu ojca, gdy znikła [illegible]dzieja połączenia się z kochankiem -- i do kogo? Do jego ciotki! W jakim celu?... Ideały-ż to autora Goldstern i Elka? Ni[illegible]alazł że on nic wyższego, nic szlachetniejszego pomiędzy żydami?...

A świat ten drugi, z którym walczą, w którego poddaństwie zostają żydzi — jest że takim tylko? Na pokazaniu-ż to drzwi Goldsternom przez hrabinę kończyć się u nas zwykło?.. Także to chętnie i taką drogą nasi hrabiowie ubiegają się o miłość cór żydowskich?... A taką byłaby rywalka żydówki, jaką jest Helena, i czy by nią była!...

Szanowni autorowie! jeśli nie dajecie nam piękna, nie chcecie osiągnąć ideału — tedy dajcie prawdę życiową... nie twórzcie dziwolągów!

Dramat p. Lubowskiego posiada warunki sceniczne; a zdradzając w autorze rutynę pisarską, ma miejsca szczęśliwe. Do najudatniejszych zaliczamy akt pierwszy, w którym rozmowa Elki z Adamem, swą potoczystością, płynnością przypomina lepszych autorów francuzkich. W akcie IV. podobno, wyznanie miłości Elki tchnie siłą odznaczającą talent Halma, i myślą przeniosło nas w chwilę, gdzie słowa „Iskry", rodzące się w duszy chłopca-dziewczyny, porywają czytelnika i widza! — Parę silnych miejsc jest w wypowiedzeniach się Goltsterna. Z prawdą i humorem narysowana, zbędna zresztą w „Żydzie" postać Fajnera. Wskazanie drzwi Goldsternowi przez hrabinę i jej słowa: „Tam było twe miejsce!" wiernie zchwycone z życia...

Talentu autorowie odmówić nie można; jakkolwiek nie jest to talent, który by znamionował twórczość... Nie! raczej głębszy namysł, pracę znać w dramacie, a nie polot śmiały, samodzielność... Pominąwszy założenie, w dramacie p. Lubowskiego razi brak charakterów. Postacie są słabe — bez kości, jak rzeźby starożytnego Wschodu. Autor nie już ducha, ale poskąpił im siły fizycznej. Te figury chodzą, mówią — ale nie działają. Po za niemi znać autora, któren porusza figury dramatu kieruje niemi, nastraja do słów, do działań. Fajner tylko ma krew i kości — żyje. — Dramat p. L. urabia się stopniowo, sztukowany scenami, które nie wypływają koniecznem następstwem; ale są utworzone, noszą na sobie charakter rażącej sztuczności...

Wrażenie ogólne, odniesione z przedstawienia „Żyda" da się zamknąć w jednem słowie: „zawod!" Czytałeś to na każdej twarzy. Wszystkimi owładnął niesmak... Byliśmy świadkami początku — nie obaczyliśmy końca, bo dramat rozwionął się, zginął, jak rzeka w stepowych piaskach... Rozwiązanie „Żyda" żadne. Helena czy odzyska Adama? Adam czy połączy się z Elką? — Goldstern jak wybrnie z procesu kryminalnego i czy odzyska córkę?... Elka wyrzecze się wiary ojców, czy zostawi ją, jako wieczysty przedział między sobą i kochankiem?... O tem wszystkiem widz nie wie — a o czemś wiedzieć powinien. Sztuka potrzebuje momentów konkretnych, sytuacji obmyślanej całości... W „Żydzie" tego niemasz!

Nawet pocieszyć nie możemy autora, że winą złego jest gra artystów; bo przedstawienie, co się u nas rzadko zdarza, było wzorowem, role umiane, wypracowane nawet.

P. Królikowski, w tytułowej roli, robił co mógł; ale dał to tylko, co dać było można: postać nie sympatyczną, nie smaczną, w ostatnich aktach wstrętną. Pani Hubertowa, grając rolę, nie przypadającą do rodzaju jej talentu, całości przedstawienia nie szkodziła.

P. Szymański był zawsze jednakim: niezrównanym deklamatorem, ale deklamatorem tylko! — Artysta ten zapomina o kardynalnej zasadzie, o przykazaniu dramaturgji głównem: na scenie zgubić swą indywidualność, utonąć w roli, przeistoczyć się tak, byśmy nie p. Szymańskiego; ale widzieli przed sobą osobę, działającą w dramacie...

Pani Szymańska, tym razem grała o wiele lepiej, aniżeli zwykle; a nawet w trudnej scenie oświadczenia, rozwinęła nie małą potęgę uczucia. Poczuliśmy ogień dalekiego Wschodu, krew żywiej krążącą!...

Pna Rudkiewiczówna miała chwile, w których grą swoją przypominała panią Nowakowskę, w jej lepszych rolach; przypominała nawet panią Aszpergerową. Dobra to szkoła, i szczerze życzymy artystce kształcić się na tych wzorach, które niestety! bodaj czy nie są stracone dla naszej sceny.

P. Baranowski dobrze wywiązał się z roli Fajnera. Utwierdził nas w przekonaniu, że ma talent; że gdyby wzory, a przytem chęć do pracy — mógłby być nieposlednim artystą.

P. Dębicki, w roli lokaja, przypomniał nam teatra, w których niemasz nie artystów. Widzieliśmy w nim rzeczywistego sługę starca; a z prawdą wypowiedziane słowa: „I mnie bardzo się to nie podobało" zyskały zasłużony oklask.

P. Stachurski.

Rozmaitości.

Losy poczciwej rodziny. Zdarzenie prawdziwe, przez Wincentego Pola. Kraków. Nakładem Wydawnictwa dzieł Władysława Jaworskiego. 1869. w 8ce (112 str.)

Jest to pierwsze może wydanie u nas książki, tak zwane francuzkie. Każda stronica liczy grubego druku wierszy 15!... Tym też sposobem tylko mogło się zrobić książkę z arkuszowej broszurki — która kosztuje... tylko 1 złr.

Zapewne, wolno jest nakładcy kazać sobie płacić za książkę ile mu się podoba; ale i nam wolno jest powiedzieć, że *Losy* są niesumiennie drogie... O ile, że opowieść, treścią swą, należy do publikacij ludowych; a włościanin za książkę p. Jaworskiego 1 złr. nie zapłaci!

Losy czytają się w przeciągu kwadransu bardzo mile, bo inaczej być nie może... jednak nie możemy pojąć: co znagliło autora do ogłoszenia tego *szkicu*-szkicu? i jeszcze jako książkę do czytania — nie dla ludu.

Najwłaściwszem byłoby, dla publikacji, o której mówimy, by w taniem 10 centowem wydaniu, oddaną została ludowi, dla którego widocznie jest napisaną.

* Druk „Jagiellonek polskich" — p. Przeździeckiego, został ukończony.

* Wyszedł nowy tom „Biblioteki Ossolińskich", jak poprzednie: odznaczający się prawdziwą wartością naukową.

* Zakład imienia Ossolińskich zbył się już opieki hr. M. Dzieduszyckiego. Wygrają na tem — wszyscy.

* Ze sprawozdania ogłoszonego w dziennikach, przez pp. dr. Strzeleckiego, P. Stachurskiego i J. E. Supińskiego, dowiadujemy się, że w Szczawnicy założoną została Czytelnia ludowa, zaopatrzona w doborowe książki polskie i ukraińsko-ruskie, i w pisma ludowe.

Czytelnia, istnienie swe zawdzięcza składkom tegorocznych gości kąpielowych w Szczawnicy, którzy zaprawdę piękną zostawili po sobie pamiątkę. Już to wogóle Szczawnica odznacza się poważniejszym nastrojem, i jako taka dobrym jest przykładem dla innych miejsc kąpielowych. W bieżącym roku np. miały miejsce w Szczawnicy prywatne wykłady naukowe, pp. Strzeleckiego i Stachurskiego, Loterja fantowa na rzecz biednych, która przyniosła kilkaset złr., i wreszcie: założenie czytelni — pomnik trwały, i najlepszy dowód patrjotyzmu gości kąpielowych.

* „Przyjaciel Domowy" znowu wypływa na powierzchnię, tym razem w towarzystwie niejakiej „Gazety Wiejskiej!..." Obaczymy w jakiej formie przedstawi się nam niefortunny przyjaciel!...

TREŚĆ:

Wydawca i odpowiedzialny za redakcję: Kornel Piller.

Druk Kornela Pillera.